



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

MIĘDZYNARODOWY KONGRES

NAUCZANIA POCZĄTKOWEGO

NA WYSTAWIE PARYZKIEJ.

Wśród mnóstwa zajmujących i nauczających rzeczy, które Wystawa Paryzka ma przedstawić, nieposlednie miejsce zabrać powinien międzynarodowy kongres nauczania początkowego, otwierający się dnia 11-go Sierpnia, trwający tydzień, wśród którego obok sześciuset nauczycieli i nauczycielek francuzkich szkół elementarnych i ochron (écoles maternelles) zasiąść ma bardzo licznie reprezentacya publicznej nauki francuzkich szkół prywatnych, świeckich i kongregacyjnych; inspektorowie akademii, delegaci zagraniczni i osoby zaproszone. Rozprawy obok tego postawione na porządku dziennym kongresu, są:

I-o. Pod jaką formą i w jakiej mierze nauczanie professyjne: rolnicze, przemysłowe i handlowe może się udzielać w szkołach elementarnych niższych i wyższych, w szkołach normalnych?

II-o. Jakim powinien być udział kobiet w nauczaniu początkowym jako nauczycielek, jako dyrektorek i inspektorek?

III-o. Rola i organizacya szkół aplikacyjnych, przyłączonych do szkół normalnych i tym podobnych?

Wszystkie te trzy kwestye mogą być traktowane piśmiennie i przesłane na ręce francuzkiego ministra oświecenia (M-r le ministre de l'instruction publique) dla wręczenia: „à M-r le vice-récteur de l'Académie de Paris, président du comité d'organisation du Congrès Enternational de l'enseignement primaire à Sorbonne.“ Prze-

slanie to powinno nastąpić przed końcem Czerwca; komitet, rozpatrujący nadesłane memoryały, konkluzye ich ogłosi na miesiąc przed otwarciem kongresu, aby służyły za podstawę jego rozpraw — wyłącznie, ponieważ żadna inna kwestya pedagogiczna nie będzie rozbiejana, tak w wydziałach kongresu jak w zgromadzeniu ogólnem.

Programat rozpraw przedstawia ramy dość ścięśnione, ale zysk z kongressu byłby zadawalniającym, gdyby te ważne zagadnienia edukacyjne dostatecznie rozebrane, rozświeciły wątpliwości nietylko publicznej, ale i domowej edukacyi zwłaszcza co do dwóch pierwszych paragrafów. Pierwsze zagadnienie zapewne rozbiejanem było w każdym kraju przy zakładaniu szkół technicznych, ale dobrze jest właśnie, że wyprowadzonym ono będzie na to ogólne forum edukacyjne, gdzie pedagog będzie stał obok technika, każdy stawiając wnioski swoje i wykazując względy, które innym poddane być nie powinny. Edukacya intelektualna właśnie tych klas pracujących, które potem muszą stanąć do warsztatów twardej pracy zarobkowej, ma znaczenie takie, że szkoła chcąc sobie zawarować choć czas jakiś, poświęcony wyłącznie kształceniu umysłu, rozwijaniu jego władz, nie chce ustąpić nic swego gruntu na rzecz nauczania professyjnego. Z drugiej strony ciężkie warunki bytu społeczeństw nowożytnych, każą rodzicom pożądać, aby dzieci ich zostały jak najwcześniej uzdolnione do pracy zarobkowej. I więcej nadto: nie jedni rodzice lękają się niejako rozbudzenia w dzieciach swoich tych aspiracyi, które by je odrywać mogły od celów życia realnych, więc rozprawy kongressu nad pierwszym paragrafem zagadnień są wielkiej humanitarnej doniosłości. Nie myli się zapewne ten, kto powie, że szkoła powinna przede wszystkim tworzyć człowieka na wszystkich szczeblach drabiny społecznej — że nauka rozwija zdolność myślenia i rozumowania — uwagę i pojętność. Przecież

rodzice, zwłaszcza mniej zamożni, żądają przede wszystkim od szkoły praktycznego uzdolnienia w kierunku pracy zawodowej i ztąd garną się zawsze więcej tam, gdzie młodzież otrzymuje naukę z owocem wiedzy takiej. Wobec trudnych warunków ekonomicznych doby dzisiejszej rzecz to zrozumiała, ale dla tego właśnie myśliciele i wychowawcy mają przed sobą zadanie wagi wielkiej w umierzeniu tego stosunku nauki z celem praktycznym i tej innej, o której Szyller powiedział, „że nie jest to krowa, co tłuste mleko daje.“ Oświecenie pod tym względem nie już sfer, pracy edukacyjnej oddanych, ale publiczność — rodziców, to rzecz ważna jak taki, a nie inny kierunek wychowaniu dawany i pismo nasze będzie usiłowało streszczonego rezultat narad kongressu nad tym przedmiotem czytelnikom swoim podać.

A czy kobieta nasza: nauczycielka, wychowawczyni nie powinna by też głosu zabrać, zwłaszcza, że może to uczynić piśmiennie, w domu pozostając? Życie objawia się przez ruch, czynnie występując. Żyje kto pracuje, kto pracy swojej rezultaty ujawnia i wśród ogółu czynności świata miejsce jakieś zajmuje. Dla nauczania kobiet, dla szkoły dziewcząt, postawione przez kongres zagadnienie ma ważność nie mniejszą niż w edukacyi mężczyzn, ważność zupełnie taką samą, więc głos kobiety odezwać się tu powinien. Występuje tu wprawdzie trudność pewna pisania w języku obcym. Jakkolwiek język francuzki jest u nas bardzo rozpowszechniony, tu przecież trzeba już doskonałego nim władania, ale mogła by może nastąpić pewnego rodzaju kolaboracya. Napisać w języku swoim, a potem niech by to przełożyła za wynagrodzeniem pewnym jakaś nauczycielka francuzka, których jest u nas mnóstwo. Jest między nami pewna liczba kobiet z poglądem wyższym na życie i naukę — na jej stosowanie w życia tego zagadnieniach, i obok Angielek może kobieta nasza najszlachet-

niej odezwać by się tu mogła. Niemka uczy się i nawet umie wiele, ale w pewnych kierunkach pojęć: na przykład o stanowisku kobiety wśród rodziny i jej zadań, o stanowisku kobiety wśród społeczeństwa swego, ma ona wyobrażenia zacieśnione, ograniczone zbyt i czterema ścianami gospodarskiego przybytku zamknięte.

Drugie zagadnienie jakim być powinien udział kobiety w wychowaniu początkowym, i miejsce zajmowane tam przez nią? to już rzecz, dotycząca kobietę wręcz i tu zająć ją ona powinna dwójako. Jest to dla niej z jednej strony pole pracy, z drugiej pole obowiązku. Pracy poszukuje ona tak dla jej znaczenia chlebobajnego jak i dla czynnego wywarcia sił, które posiada i zużytkować pragnie, bo tak, jak istocie każdej, na to zostały jej one danemi. Tu nie spotyka się nawet z opozycją żadną i kształcenie dziecka należało do kobiety odwiecznie. Najpierw matka bierze je na łono swoje; następnie zajęta pracą u domowego ogniska, szuka sobie wyřęczycielki i tą jest nauczycielka. Kongres nie zajmuje się nauczycielką domową: to rzecz rodziny, dział obowiązków macierzyńskich. Matka przelewa tu swoje prawa, powinność swoją składa w ręce osoby drugiej, jest to zatem zastępczyni jej tylko, pomocnica i ona to, matka, powinna czuwać, aby wychowanie dziecka nie cierpiało na tem, aby rozwijało się prawidłowo. Szkoła jest instytucją publiczną i dla tego przedstawia się publicznie jako przedmiot badań, uwag, krytyki. Każdy kraj ma tu pojęcia swoje, dla których wystawa jest punktem styczonym, sposobem zapoznania się wzajemnego, porównania systematów. Udział kobiety w szkole publicznej nie jest wszędzie jednakowym. W Stanach Zjednoczonych pierwszym mistrzem nauczania publicznego jest przeważnie kobieta, w Niemczech przeciwnie udział kobiety jest sprowadzonym do części możliwie najmniejszej, tak w nauczaniu samem, jak w inspekcji i administracji szkół. Porównanie wyników, mniej lub więcej szczęśliwych, nie może jeszcze rozstrzygać kwestyi w zasadzie, ponieważ różnice w ukształtowaniu się tych państw, warunki życia, odnośny stopień cywilizacji narodu, dużo wpływa na owoce szkolnictwa. Innej zasady trzeba więc szukać dla sądu swego—sięgnąć głębiej, bo do natury człowieka i wedle niej wyrokować. Nauce prowadzonej przez mężczyzn, przyznana jest ogólnie większa systematyczność, większa logiczność i treściwość w wykładzie, ale kobieta lepiej rozumie naturę dziecka i ztąd lepiej sądzić może o większej, lub mniejszej wartości praktycznej metod wychowawczych—lepiej się kierować w nauczaniu samem. Przytem dziecko młode więcej łączy do kobiety, przeczuwa w niej tę istotę uczuciową, która tkliwiej i delikatniej umie je w ręce swoje, obejdzie się z niem więcej po macierzyńsku.

Są tacy, którzy w tem właśnie widzą wadę szkoły, prowadzonej przez kobietę, pieśczołliwość, przewagę uczucia nad myślą sądzącą. Są inni czyniący jej z tego zaletę i tu oto pole, aby pióro kobiety wystąpiło, wykazując zasadnie co w tem *pro* i *contre* przemawia za kobietą nauczycielką, co jest w jej nauczaniu słabością? Mamy wśród nauczycielek praktycznych, wśród matek myślących niejedną osobistość zdolną wystąpić z powodzeniem. Oprócz ogólnego interesu wychowania, który kobiecie, jako istocie myślącej i uczącej obojętnym być nie powinien, jest tu interes szczególny dania głosu swego tam, gdzie jest głosowanie powszechne. Odezwać się tu. — Jestem!... znaczy jakoby położyć podpis na akcie ogólnego zebrania, a francuzkie przysłowie: „Les absents ont toujours tort“ ma głębokie znaczenie swoje.

Może jest to zarozumiałością ze strony mojego uczucia, ale sądzę, że memorały naszych nauczycielek, naszych kobiet, zajmujących się sprawami wychowania, zaznaczyłyby się wśród innych. Czasu jeszcze jest dość, bo więcej niż półtora miesiąca, a nie książka ma to być, ale traktat. Myśli, które się w nim zawrzeć powinny, już w umyśle się znajdują, wyniesione z przekonania pedagogicznych, z praktyki nauczania, lub poglądów na nauczanie i wychowanie. Więc odwagę

w sobie wzmódz, pióro do ręki wiaść i rzecz dobrą, rzecz pożyteczną napisać.

Marya Ilnicka.

ZWROTKI.

III.

(Temata.)

Jeśli brzask szczęścia znikąd ci nie dnieje,
Jeśli ci w sercu osiadł smutek wielki,
Jeśliś już wiarę stracił i nadzieje,—
Do wzruszającej masz temat nowelki.

A jeśli, hasłem złorzecząc odwiecznym,
Rzuciłeś w oczy rękawicę światu,
I jeśliś uległ w starciu ostatecznym—
Do scenicznego masz motyw dramatu.

IV.

(Świat i serce.)

Niezapomnianych dni boleść ukryta
Płomieniami czasem buchnie jaskrawemi;
Wtedy zdumiony świat ze zgrozą pyta:
Zkąd taka gorycz i pogarda ziemi?...

A czasem jasna przyszłość się zamarzy;
Pieśnią nadziei z piersi się dobędzie:
Świat znów się dziwi; zkąd na twojej twarzy
Pogodny uśmiech, gdy ból i łyż wszędzie.

J. K. Ehrenberg.

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg.)

— Powiem ci prawdę — zwrócił się do Tadeusza — zlyczałem zupełnie. Należę do mieszczańskiego kasyna i tam z trzema szlagonami, osiadłymi na bruku jak ja, mam po pracy partyjkę. Z początku bywałem w „klubie“, ale tam gruba gra, cynizm i nudy. Podolsko-oficersko-austriacki szyk nie jest pociągający, dla nas szlachty Galicyi Zachodniej. Jutro idziemy do Wydziału, potem wyszukasz sobie mieszkanie w naszej dzielnicy na Stryjskiem i przychodź na obiad. A teraz spać, druga godzina, o dziesiątej rano w biurze. Dla sześćdziesięciu lat to nie żarty. Nie żałuj, żeś przyjechał. Zobaczysz, że jeszcze obaj wypłyniemy. Dobranoc, panie buchhalterze, Banku Krajowego. Całe miasto się dowie o przyjeździe paryżkiego buchaltera. Reklama jest wszystkim. Dobranoc. Obiad o drugiej; proszę się nie spóźnić.

Cesarz potwierdził wybór pana Jana. Nadszedł więc czas wyjazdu do Lwowa. Nowy marszałek czuł pewną rozkosz na myśl składania przysięgi na wierność. Rad był zmanifestować przed rządem swoje wiernopoddańcze uczucia. Nadzieja zobaczenia jednaka, wejścia w wielki świat, otarcia się o wielkie rody i dygnitarzy państwa, upajała go. †

— U namiestnika, u dwóch książąt, u Połackiego, u księżny wdowy, wszędzie tam będę z Adasiem—zacierał ręce z radości.

Pobłogosławiony przez żonę, odjechał.

W parterowej łoży, pierwszej od sceny, a należącej do „końskiego kasyna“ siedział pan Jan, jako gość. Obok niego syn, po prawej stronie hrabia Dziudzio, mieszkający stale w kasynie, a polujący na bogatych szlachciców.

Dawano premierę znanego w szerokich kołach i ulubionego we Lwowie autora, z panną Teresą w głównej roli.

Panna Teresa ukazała się na scenie, przyjęta burzą oklasków przez parter, szmerem sympatyj przez łożę, a uśmiechami przez członków końskiego kasyna.

— To ona — szepnął hrabia panu Janowi. — A co nie mówiłem, że szyk? Jakie ramiona, figura, głos, oczy... Przekonasz się pan, jaka wyborna aktorka.

Panu Janowi przypomniała się młodość, zaświeciły ogniem, pochwycił lornetkę.

— Rozkoszna dziewczyna — mówił dalej hrabia. — Iluż to ludzi z naszego kółka rozrzucalo dla niej summy! — i nic. — Ja sam latałem przez miesiąc, jak opętany i nic. Nikt tylko Adaś jest u niej, jak u siebie w domu. To dowodzi, że i dziewczyna ma dobry gust. Adaś uchodzi za jednego z najprzystojniejszych wśród młodzieży lwowskiej.

Pan Jan spojrział na syna i doznał niemiłego wrażenia. Adam pożerał dziewczynę wzrokiem dziwnej ogłupiającej i ogłuszającej namiętności. Ojciec od pierwszego rzutu oka odgadł niebezpieczeństwo.

W tej chwili kurtyna spadła. Adam, nikogo nie widząc, powstał i, jak w śnie lunatycznym, popychany siłą, której się oprzeć nie mógł, pobiegł za kulisy.

— Boję się — rzekł pan Jan do hrabiego.

— A to czego?

— Dziewczyna ładna, kokietka, zdaje się sprytna, a chłopak odurzony.

— Tak, jak my wszyscy, a przecie nam korony z głów nie pospadały. Powiedz pan, cobyśmy na świecie robili, gdybyśmy nie mieli romansów?... Czy pan sądzisz, że Adasia praca biurowa pochłania?

— Nie sądzę, lecz bywały wypadki — odparł pan Jan smutno.

— W takich razach, gdyby z drugiej strony była gra. Tu gry niema. Najlepszy dowód, że nie jest na zły drodze, jest to, że bywa wszędzie, nie unika towarzystwa, w salonach dobrze widziany. Przekonasz się pan jutro na wieczorze u księcia. Stosunek jego jest nader interessującym dla naszych dam. Otacza go atmosfera Don-Juana, wierzą, że aktorka kocha się w nim szczerze, dla jego urody i przymiotów. Bądź pan spokojny: romansik ten nietylko żadnej szkody nie przyniesie Adasiowi, lecz mu pomoże. Jest on dziś ulubieńcem kobiet. Mężatki rozmawiają z nim o Tereni, która jest ulubienicą całego Lwowa. Romans z artystką prędzej robi młodzieńca sławnym, niżeli napisana książka, lub bohaterki czyn. Książek prawie nikt z „towarzystwa“ nie czyta, o czynie choćby głośnym zapomina się, a na aktorkę ludzie codzień patrzą, codzień powtarzają: dziewczyna ta należy do Adasia. „Szczęśliwy“ — szepczą; wdychają i zazdroszczą mu. Znać życie—to wielka sztuka.

Pan Jan bał się zdradzić, że życia nie zna, i dlatego milczał poważnie, słuchając zwierzeń hrabiego.

Za kulisami do buduaru sklejonego z parawanów, wyłożonego miękkim dywanem, zastukał Adam.

— Jeżeli to pan, panie Adamie — odpowiedział pieśczoony głosik, proszę. Nikomu innemu nie wolno.

Adam wszedł i drzwi zamknął.

— Traciłam nadzieję, abyś przyszedł. Ten pan z nastroszonymi brwiami a rozwartymi nozdrzami—to twój ojciec?

— Mój — odpowiedział z uśmiechem.

— Ja się go boję — szepnęła, tuląc pieśczołliwie głowę do jego piersi.

— Ależ to dobry człowiek—uspokajał ją Adam. Może mi tylko ciebie zazdrościć.

— Ja się go boję — powtórzyła — przeczuwam, że on straszną rolę odegra w mem życiu. Będziesz mnie przed nim bronił?..

— Nie sędzę, aby była tego potrzeba.

— Będziesz? — zawołała dramatycznie — przysięgnij, że będziesz? Potrzebuję przysięgi, czuję, że mi doda sił. Przysięgnij.

— Przysięgam — powtórzył Adam, podnosząc rękę w górę.

— Panno Tereso, kiedy pani każe zacząć — rozległ się głos reżysera.

— Za pięć minut.

— Czy z pewnością?

— Z największą, tylko pan nie nudź — i zwracając się do Adama, spytała:—Dzisiejszy wieczór poświęcisz swemu drogiemu ojcu?

— Muszę, moje dziecko. Daję kolacją na cześć ojca.

— Pewno pijatka i karty. Nie cierpię ani jednego, ani drugiego.

— Cóż robić, kiedy my inaczej bawić się nie umiemy.

— Dzikusy jesteście. Gdyby was otaczały inne kobiety, byłibyście inni.

— Ale wtedy nie kochalibyśmy...

— Nas — przerwała. — Musiałybyśmy się cieszyć...

— Panno Tereso, można dzwonić?—odezwał się reżyser.

— Można!

— Dzwonić, dzwonić, zaczynamy....

— Jutro po próbie, przyjdiesz?...

— Nie wiem, lecz wieczorem pewno.

Podawała mu ręce do całowania.

— Spójrz, obejrż mnie: czy dobrze?

— Bosko — zawołał.

— Chciałabym oczarować twego ojca, podbić go i zwyciężyć. Może choć raz pod czarem mej gry rozsunie brwi i uśmiechnie się. Do spokojnego snu potrzebuję jego uśmiechu. Lękam się, aby mnie w nocy nie budziła zachmurzona z nasuniętymi brwiami twarz.

— Panna Teresa na scenę.

— Do widzenia — przesłała mu ręką pocałunek i wybiegła.

Adam długimi kurytarzami wracał wolno do łóż.

— Cóż ją obchodzi mój ojciec? Przecież nie jest tak naiwną, aby liczyła na ożenienie. Choć dziś nie dałbym jej sobie wydrzeć. Wstrząsnął się; pięście zacisnął, przyspieszył kroku, wsunął się cicho do łóż, siadł przy ojcu i w dalszym ciągu pożerał wzrokiem dziewczynę.

Przedstawienie się skończyło. Adam z ojcem pojechali naprzód dopilnować przygotowań do kolacji i przyjęcia zaproszonych gości.

Zastawa na osiemnaście osób, szampan w wazniach wypełnionych lodem, butelki burgunda przy każdym nakryciu, w wazonach kwiaty. Kredens rzeźbiony, zastawiony porcelaną i szkłem, lampy dźwięgane przez rycerzy i brązowe nagie kobiety—wszystko razem, stanowiło całość, przyjemnie działającą na wzrok.

Pan Jan okiem znawcy rzucał dokoła, służba milcząca, nieruchoma, czekając skinienia stała przy ścianie i kredensie.

— Kucharz? — spytał pofrancuzku ojciec.

— Hrabiego Leopolda. Wczoraj hrabia wyjechał do Wiednia. Skorzystałem — odparł syn.

— Szyk, elegancja, zamożność, gust, dobry ton.... Młodzię musi przepadać za tobą?

— A kobiety mnie dosyć lubią — dodał Adam.

Zadzwoniono, służba rzuciła się do drzwi. Ojciec i syn przeszli do salonu.

Pierwszy wbiegł hrabia Dziudzio, prowadząc za sobą prawie wszystkich zaproszonych. Zrobiło się gwarno i wesoło. Adam dał hasło siadania do wieszery.

— Kucharz hrabiego Leopolda — przechodziło z ust do ust.

— Hrabia Leopold, wielki smakosz i wielki skąpiec, zamyka się ze swoim kucharzem, smaży razem z nim i zjada w pojedynkę—opowiadał Adam. Będziemy mieli dziś wyborną kolację, przekonacie się.

— A ja wam mówię — zawołał w entuzjazmie Dziudzio—że dziś Europą trzęsą kucharze.

Powstał wesoły szmer.

— A więc nie Bismarck?

— Nie, bo nawet Bismarckiem trzęsie jego kucharz. Wpływ kucharza na Bismarcka odbija się na całej Europie.

— Bravo, Dziudzio, bravo.

Pan Jan dał znak, aby rozlewano szampana. Korki zaczęły cicho wysuwać się z butelek, wino pryskało. Dobry humor biesiadników objawiał się rumieńcami na twarzach, ogniem w oczach i głośnymi rozmowami.

— Naszego jedynego pozytywnego dziś flozofa i polityka kochanego Dziunia!

— Bravo, niech żyje flozof! — Powstali trącając się kieliszkami, śmiejąc się i żartując.

— Szkoda, że niema Tereni i innych cór Olimpu....

— Terenia nie przyszłaby — odpowiedział cicho Adam — a co do innych to... — pokazał na ojca. — Sama delikatność nakazuje nie robić mu przykrości.

— Rozruszałby się staruszek.

Adam udał, że nie słyszy i nic nie odpowiedział.

— Przechodzimy do salonu—zawołał Dziudzio—szampan przyjdzie za nami. Podzielimy się na dwa wielkie obozy kwindecistów i bakaracistów, rozpoczniemy walkę na gołe noże, gołe lby, na śmierć i życie.

Projekt przyjęto jednogłośnie. Rozstawiono stoliki, pito szampana i grano z powagą i namaszczeniem...

O czwartej rano ojciec z synem zostali sami.

— I cóż? — rzucił pytanie ojciec.

— Kolacja się opłaciła i jeszcze coś zostało za trudy.

— Ja zaś przegrałem parę set papierków.

— Bo ojciec się rozpala. Trzeba być zimnym, jak lód, spokojnym, jak posąg, wtedy się zawsze prawie wygra.

— Gdzież ty się nauczył posągowego spokoju?

— W szkole życia. Dobra to szkoła.

— Mówiłem dziś z namiestnikiem i napomknąłem... domyślasz się o czem.

— O dziewięciopalkowej koronie.

— Robi mi nadzieję. Przyjemnie ci?

— Gdyby mój dziad zrobił to, co robi ojciec, byłoby mi stokroć przyjemniej. Wolą tu dziś dobrą szlachtę, niż świeżo upieczonych hrabiów.

— Ależ mój drogi, za lat dziesięć świeżyzna przestanie być świeżyzną. Do kariery tytuł konieczny potrzebny.

— Chwała Bogu, że przynajmniej nie zostaniemy hrabiami rzymskimi. Dziś każdy bogaty żyd, gdy się przechrzci, a nie może zostać baronem, zostaje hrabią rzymskim.

Ojciec, chcąc odwrócić rozmowę, która go gniewała, przerwał:

— Adasiu, czas się żenić.

— Gwałtu jeszcze niema — odpowiedział spokojnie. — Lecz ponieważ pierwszy raz sam się chciałem żenić, to już teraz kolej na rodziców. Żeńcie mnie.

— Wybornie, tylko, abyś nie zapomniał później dzisiejszej prośby. Czy ty jeszcze tęsknisz za Julką?

— Nie, już przeszło. Jestem tylko tego zdania, że się niekoniecznie dobrze stało.

— Co ty mówisz? — zawołał ojciec. Nieprzyjemne uczucie ścisnęło mu serce, lecz się w tej chwili uspokoił, zaczynając żartobliwie: — Jakże twój romans z piękną aktorką?

— Idzie swoją koleją — odparł spokojnie Adam.

— Czy to zbytecznie nie wysusza twej kieszeni?

— Nie, ojczu. Prezenta robię tylko wygranemi w karty pieniędzi.

— I nie gniewa się?

— Nie, gdyż często i dosyć wygrywam. Nie jest natrętną.

— Wyjątkowa. Co ją skłoniło, że się tobie oddała?

— Byłem wytrwalszy i cierpliwszy od innych.

— I nic więcej?

— Mówią, że nie jestem brzydki.

Pan Jan nie indagował więcej.

— Powiedz mi, czy tu we Lwowie nie znalazłaby się dla ciebie partya?

— Niezawodnie, lecz trudno, bardzo trudno. Dla jednych z panien tutejszego towarzystwa jestem zamało bogaty, dla drugich niedość świetnie urodzony, trzecie nie podobałyby się rodzicom. Już ja się w te sprawy nie mieszam, wybierajcie sami, byleby oprócz majątku i tytułu nie była tak już zupełnie wystrugana z drzewa. Tych wystruganych figurek mam dosyć—dokończył z widocznym rozdrażnieniem.

— Matka z Matyldą szukają ci żony i są podobno na tropie.

— Gdy dwie tak praktyczne osoby podadzą sobie ręce, gotowe mnie ożenić z samą praktyką.

— Nie obawiaj się, panna podobno przystojna, ożywiona, elegancka, bardzo dobrych manier, bogata i hrabianka. W tem upatruj praktyczność Matyldy i twej matki.

— Dziękuję pani Matyldzie i mamie, lecz zastrzegam sobie veto, w tym jednym wypadku, jeżeli ta młoda osoba będzie dla mnie wstrętną. Niepodobieństw nie wymagajcie.

— Młoda, świeża i przystojna dziewczyna: dla czego ma ci być wstrętną? Jesteś rozdrażniony bezsennością i szampanem. Kładźmy się. Jeszcze jedno.

— Słucham ojczu.

— Masz widoki kariery we Lwowie?

— Niezawodnie, jako lojalny urzędnik. Przytem majątek, jaki będę mieć, protekcja, stosunki, dużo robią, a może i wszystko.

— W świecie podobno jesteś niezłe widziany.

— Stanowisko i wpływy Połackiego są tu decydujące.

— Jutro jesteśmy u niego — zawołał z entuzjazmem pan Jan. — Jedno uściśnienie ręki wielkiego pana, więcej znaczy, niż... Nie znajduję na razie porównania, jutro dokończę. Adasiu, byłbyś znakomitym, gdyby więcej energii, zapалу i pragnień. Za mało masz ambicyi i pragnień.

— Dla wyszukanej przez mamę i panią Matyldę, wystarczy.

Ojciec się zamyślił. Kochał syna, cieszył się nim, był nawet z niego dumny. Mimo to czuł w nim dziwny chłód. Trzeźwość i apatya raziły go i przestraszały. Między nim i synem nie było tej spójni płynącej z jednakiem uczuciem i pojęciem. Czuł, że nie jest przez syna kochany, jak być powinien, jak zasługiwał w swoim przekonaniu i jak pragnął.

Po paru chwilach ciszy rozlegało się w pokoju Adama miarowe chrapanie.

Następny dzień poświęcono wizytom, powtórną naradzie z namiestnikiem i recepcji u księcia pana. Namiestnik przyrzekł poparcie w otrzymaniu hrabiostwa, lecz w zamian żądał posłuszeństwa i pomocy.

W celach strategicznych potrzebna była dobra bita droga łącząca ujście Sanu i Wisły z koleją. Rząd nie miał ochoty wydawać na tę drogę pieniędzy i rad był zrobić ją kosztem powiatu. Pan Jan nie taił trudności, lecz również nie tracił nadziei, że wolę rządu spełni.

— My zaś postaramy się spełnić pańskie życzenia — odparł namiestnik. — Pan Adam młody człowiek, wiele obiecujący, spokojny, zimny, rozważny, stworzony na dyplomata lub dygnitarza. Winszuję panu.

— A zatem sprawa skończona — myślał pan Jan, wracając z audencji.—Hrabstwo za drogę... Ach ten Radwan, ten łajdak Radwan, żydów, łyków i chłopów przeciągnie na swoją stronę. Jak na nieszczęście droga niepotrzebna dla powiatu ciągnie się przez piachy i lasy. Będą krzyżać i kto wie, czy przeforsuje. Trzeba jednak *pechu*, żeby człowiekowi na drodze stawał pierwszy lepszy błazen, pierwszy lepszy demagog... Ha, jeżeli nie będę mógł, to i tak rząd musi ocenić moje dobre chęci.

Adam po skrupulatnem obliczeniu kosztów wyprawionej wczoraj kolacji, przekonał się, że mu jeszcze zostało z wygranej dwieście guldenów.

Wieczorem ubrał się balowo, polecił służącemu powiedzieć ojcu, że przyjdzie wprost na raut, do księcia—wyszedł. Po drodze kupił bransoletę,

siadł do karetki i kazał galopować do mieszkania aktorki.

Dziewczyna przyjęła bransoletę wybuchami naiwnej radości. Zapięła ją w tej chwili na ręce, przyglądała się jej, śmiała, się dziękując czule.

— To ty musisz kochać swoją Renię — szeptała, grając trzynastoletniego podlotka i strojąc naiwną, zakłopotaną minę — ty ją musisz kochać. — Wiedziała, że podlotki gra wybornie, że jej z naiwną miną do twarzy... Adam ją pociągnął ku sobie i rozgarniając włosy z jej czoła, słuchał z rozkoszą szebiotów, patrząc w głębie dużych oczu, z których wyglądały spryt, energia, a czasami przejawiały się błyski szatańskie. Naiwność i rozum pociągały go do dziewczyny i więziły przy niej. Była inna od spotykanych w salonach: łaszczą się kotka, chwilami wybuchająca i dramatyczna.

— Bransoletka, domyślam się, pewno dla złagodzenia marsa twego ojca, dla wyrugowania go z mej pamięci.

— Tylko dla wywołania twego uśmiechu. Ojciec mój przypomina z bajki nasrożonego koguta. Straszna tylko ma mina.

— Rozmawiał z tobą o mnie?

— Chwalił twoją piękność.

— I nic więcej?

— Nic, moje dziecko.

Dziewczyna zamysliła się i posmutniała, lecz za małą chwilę oprzytomniała. Zaczęła opowiadać wesołe anegdotki zakulisowe i treść ostatnich przeczytanych francuzkich romansów.

Adam słuchał, aktorka była pośredniczką między nim a literaturą i romansami francuzkimi. I tak powoli przyzwyczaił się patrzeć na ludzi, świat, sztukę oczami sprytniej dziewczyny, która pięknnością chwytala za serce, a uległością i poddaniem przykuwała do siebie.

Na herbatę przyszedł młody aktor komik, wesoły, żywy, czasami dowcipny. Cześć, jaką okazywał Teresie, podobała się Adamowi, a jego żarciki rozweselały go.

Wśród wesołej zabawy we trójkę, wybiła dziesiąta. Adam się zerwał.

— Już? — spytała tęskno dziewczyna.

— Ojciec czeka na recepcji u księcia, niecierpliwi się i gniewa. Przyjechał na trzy dni.

— Należy — zawyrokował komik — szanować ojców przyjeżdżających na trzy dni, jeżeli jeszcze zostawiają mamonę, a sami odjeżdżają z lekkim sercem i lżejszą kieszenią.

— Na recepcjach u waszych książąt musi być nudno. O czem tam mówią wasze panny?...

— Opowiem ci to jutro, dzisiaj nie mam czasu.

Odprowadzony do przedpokoju i tam serdecznie pożegnany odjechał.

— Panno Tereso — spytał komik, gdy zostali sami — czy będą z tego nici?

— Ach, mój panie, któż to odgadnie? Sprawy tego rodzaju należy prowadzić nadzwyczaj ostrożnie. Jeden fałszywy krok...

— A można spaść i nogę złamać — dokończył komik.

— Można, kochany panie.

— Pani nie wypuści tego ptaszka ze swych paluszków?

— Tem więcej, że go kocham — odpowiedziała poważnie.

— Ładny chłopak, bogaty, młody, silny i zdrowy.

— I dodaj pan, że nie głupi.

— A... a... dodaję; dlaczego nie miałbym dodać — powiedział pół poważnie, pół komicznie, tak, że całość wyglądała na piekielne szyderstwo.

Dziewczyna zerwała się.

— Dobranoc — rzekła cierpko i sztywno. Komik pochwyił za kapelusz, pożegnał się i wybiegł.

— Nie znoszę tych cynicznie jadowitych głupców — zawołała, gdy usłyszała trzask zamykających się za komikiem drzwi. — Ja kocham i dlatego Adam musi być moim — rozumiesz? Ja nie odpowiadam za swoją przeszłość, tylko ci, którzy nią kierowali. Kocham i muszę być kochaną... Tego jednego prawa nikt mi nie wydrze. Ja mam prawo do wzajemności, dlatego, że sama kocham. O własność moją będę walczyła z całym światem. Przyszłość jest w moich rękach; zależy ona od

mej zrzeczności, rozumu i wytrwałości. Kocham sztukę, lecz radabym się raz wyrwać z zakulisowych stosunków, które mnie męczą i upokarzają... Muszę — powtarzała wzburzona, chodząc po pokoju, jak lwica w klatce. Dziewczyna miała temperament, energią i siłę woli — niebezpieczne przymioty wobec apatyj Adama.

Przyjęcie u księcia było dziś niezwykle liczne i ożywione. Adam się spóźnił, lecz nic na tem nie stracił. Książę wobec ojca przyjął go nader łaskawie, a panie głośno mówiły, że zjawił się miły *causeur* i *badineur*, w towarzystwie którego można było przyjemnie czas przepędzić.

Ojciec dziwił się sławie w tym kierunku swego syna, gdyż wobec niego zwykle bywał zmęczony i wyczerpany.

— Wprawdzie ja nie jestem ładną kobietą, — pocieszał się.

Adam zajął miejsce wśród dam, parafrazując ostatnią swą rozmowę z aktorką. Pan Jan, umieścił się we framudze okna i słuchał, nie mogąc pojąć: z kąd jego syn może być tak dokładnie obeznany z dzisiejszą literaturą francuzką? Co do anegdotek zakulisowych, domyślał się ich źródła.

— Niepodobna — powtarzał sobie — aby dla chłopca, bawiącego się tak poufale w towarzystwie dystygowanych dam, aktorka mogła być niebezpieczną? Była to obawa uprzedzonego i wystraszonego ojca. W jak krótkim czasie nabrał on tej pewności siebie, tych powabnych manier, tej swobody!.. Jest w książęcym salonie jak u siebie w domu. — Pan Jan był wzruszony, dumny z syna i szczęśliwy.

Książę w dowód swej łaski i dobrego humoru pozwolił tańczyć. Jeden z młodych ludzi zasiadł do fortepianu. Melodyjne tony walca zaczęły pieszczotliwie rozbrzmiewać. Jednym z pierwszych w kole tancerzy znalazł się Adam. Silny, zgrabny, przytomny, tańczył dobrze, nawet z pewnym wdziękiem.

Po przetańczeniu z najładniejszą z kobiet towarzystwa zobaczył ojca we framudze okna; zbliżył się do niego.

— Marszałek się nudzi? — zapytał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAN ROWLAND STANLEY.

(Dalszy ciąg).

Ale inne jeszcze przeszkody zagrażały drogę pochodowi Stanleya. Między ludźmi Tippo-Tipa panowała ospa, dysenterya i inne jeszcze ciężkie choroby. Nerwowe, delikatne plemię Arabów nie jest wytrzymałe na długotrwałe trudy, nie ożywiała ich też idea, będąca siłą Stanleya, który też zwolnił ich przewodcę z zawartej z nim umowy. Typpo Tib otrzymał od niego wexel na 2.500 dolarów, osła ułożonego do jazdy wierzchem, złoty łańcuszek, rewolwer z amunicją na dwieście nabołów, mantelzak skórzany i wiele pomniejszych darów, obok czego obdarzył hojnie cały jego oddział. Przez uczucie szlachetności, którego Stanley nie zatracił w sobie, żyjąc poza granicami cywilizacji, zwolnił on podobnie z obowiązku dalszego towarzyszenia i czarną służbę swoje.

Powiedział jej, że jest wolną; wykazał przecież, że bezpieczniejszą jest dla nich droga, wiodąca pod jego przewodnictwem ku morzu, niż ponowne przebywanie pustyń z Arabami. Sto czterdzieści osób, licząc w to kobiety i dzieci, uwierzyło mu i nie odstąpiło go, a była to chwila, o której pisze w pamiętniku podróżnym, że przyniosła mu dawno niezaznane wzruszenia serca, bo poznał,

że ta garstka czarnych biedaków przywiązała się do niego i ufa mu. Obok szalupy stanęła też flotylla z dwudziestu dwóch wielkich łodzi i puszczono się tak razem w dół rzeki, ku morzu.

Nie była to przecież podróż ani bezpieczna, ani przyjemna, bo natura afrykańska dzika, jak jej czarny człowiek, stanęła teraz do walki z białym intruzem. D. 4 Stycznia 1877 r. Stanley odkrył wielką rzekę, która wlewała tu wody swoje do Konga i na cześć króla Belgii, nazwał ją Rzeką Leopolda, lecz zaraz po tem połączeniu Konga zakręca nagle ku wschodowi, a to z przyczyny wyniosłego na 300 stóp wzgórza, które zastępuje jej drogę. Zbliżając się tu słyszał Stanley głucho huk, jak gdyby nieustającej kanonady i niespokojnie nasłuchujący tego odgłosu, ujrzał nagle jego przyczynę: w środkowym miejscu zakrętu wznosiły się z prawej strony brzegu skały białego granitu na sześć stóp wysokie, które ścisnęły nagle łożysko rzeki w miejscu właśnie, gdzie woda pędzi z szybkością, niedającą się opisać, bo leci tu z góry na dół i wyjada przez spadek fal spienionych odgłosów, podobny zdaleka do huku odległych dział, a zbliżka zdający się być biciem w kotły przez jakiś legion niezmordowanych silaczy.

Była to pierwsza z katarakt, nazwanych następnie przez geografów jego nazwiskiem: „Stanley Falls”, lecz obok potężnego huku wód, wznosiły się z obu stron brzegów głosy straszniejsze od nich dla podróżnego: dzikie wrzaski Murzynów ludożerców. Trzeba było wybierać teraz między śmiercią w ich okrutnych rękach, lub zgonem wśród gotujących się, pianami tryskających fal.

Stanley wybrał bój z człowiekiem. Szalupa i flotylla łodzi stanęły na kotwicy i dano ognia do dzikich, którzy cisnąc się chmarami na wybrzeże, wypuszczali na podróżnych grad strzał, a zarazem pod osłoną zamieszania, sprawionego między dzikimi tak przez kule, jak huk wystrzałów, Stanley z wybranym hufcem najodważniejszych wylądował i cisnął się na napastników: odparł ich w głąb lasu, aby następnie wnieść zaraz na wybrzeże obóz, oszańcowany przez palisadę i gdzie mógł już bezpieczniej oczekiwać powrotu krajowców.

Trzeba było przecież myśleć zarazem o torowaniu sobie tej drogi lądowej, pozwalającej okrążyć rzekę aż po miejsce możliwe dla żeglugi — drogi, którą karawana miała przebywać, przenosząc nietylko już szalupę, rozebraną na części, ale łożdzie i zapasy. Skoro też wyczerpęto chwilę jakąś i pożywiono się, Stanley podzielił orszak swój na dwie części, z których jedna miała przeznaczenie pracować w nocy, a druga w dzień. On zaś sam z wybranym hufcem dwudziestu pionierów, uzbrojonych w karabiny i siekiery, wziął na siebie torowanie drogi przez gęstsze lasów, a była to praca oblewająca czoła potem i narażająca na pierwsze spotkanie się z nieprzyjacielem. Przytem trzeba było dopilnować się bacznie kierunku równoległego z rzeką, aby nie zabłądzić wśród puszczy — nie oddalić się zbyt od jej brzegu — nie zetknąć się niespodziewanie z czarnymi.

Z wielkich drzew czyniono sobie słupy przydrożne i co pół mili geograficznej wznoszono obóz odpoczynkowy. Za tą strażą przednią, postępowało sześćdziesiąt ludzi: jedni w zaprzęgu ciągnący ciężar, drudzy popychający go z tyłu. Gdy łódź jedna z pakunkiem swoim została w ten sposób sprowadzoną do obozu, wracano po drugą i tak aż do zgromadzenia ich tam dwudziestu dwóch, oraz szalupy, i żadna część orszaku nie wyruszała z obozu pierwszej, aż wszystko: ludzie i zapasy wyprawy były zgromadzone razem bez braku żadnego. Wtedy odbywano znów podobny półmilowy pochód, zatrzymywano się w obozie, odpoczywano i tak dalej, tak dalej, aż za ostatnią kataraktą, gdzie otwiera się znowu droga wodna.

Była to praca Tytanów. Nocą trzeba było jeszcze oświecać drogę, lecz jakichże to pochodni musiano używać! W koło suchego kija palmowego wiązano snopek suchej trzciny, napszczonę gumą żywiczną i zatykano to na wysokich drzewach, którym ścinano wierzchołki, aby przypadkiem nie sprowadzić pożaru lasu. Ale świa-

tła te w nocy, a słupy przydrożne w dzień wykazywały drogę nie tylko kolumnie podróżniczej. Dzicy, pierzchnący w głąb lasu, byli tam zaznani i szpiegujący pochod karawany; trzeba było o tem pamiętać, trzeba było urządzać oddziały straży, które rozsypywały się po lesie, jak tyralierzy, bo nieprzyjaciel był wszędzie. Każda kępa drzew, zarastających jakąś wyniosłością, każdy wąwóz, stanowił fortece czarnych, ztąd miotali setki strzał. Aby dostać się tam i wyparować wroga, trzeba było nieraz czołgać się po ziemi, podsuwać się w postaci zgiętej w kuczki, zdobywać naturalne barykady i torować sobie drogę kulami, posyłanymi na oślep w gąszcz, wśród którego szmer, poruszenie gałęzi wskazywało ukrytego nieprzyjaciela i Stanley pyta, zali sama wyobraźnia jego czytelników, zdola odtworzyć obraz prawdziwy tego pochodu czarnych Zanziborytów, pod wodzą dwóch białych, bo Frank Pacock był nie tylko prawą ręką Stanleya i po krzepieniu jego ducha, ale i współpracownikiem inteligentnym, na którego trzeba mu było teraz spuścić się całkowicie w stróżowaniu olbrzymiej pracy pochodu leśnego, którego on sam już doglądać teraz zgoła nie mógł, tworząc awangardę karawany i jej siłę zbrojną, która musiała zjawiać się natychmiast tam, z kąd doleciało hasło trwogi z jednej strony, a z drugiej dziki okrzyk czarnych. I stoczono niejedną potyczkę taką, dzienna i nocną; bito się nieraz, zdobywając przejście obszczone z dwóch stron drogi, a męczyła szczególnie potrzeba ustawicznej czujności, zwłaszcza na tyłach karawany, bo dzicy podpatrzyli już, że siła zbrojna jest na jej froncie.

I trzeba było przecięciowo siedmiesięciu osmiu godzin drogi takiej dla obejścia jednej katarakty, a w tem miejscu tylko, gdzie nazywają się one *Stanley Falls*, jest ich siedem. Radość uczuwana z okrażenia jednej, prędko niknęła, gdy usłyszany znowu głuchy łoskot wody dawał znać, iż następuje druga, zapowiadająca się zdaleka nie tylko tym hukiem posępnym, ale i płatami białej jak śnieg piany, toczoney przez wezbrane fale. Wtedy trzeba było znowu przybijać do brzegu, wynosić na ląd statki wraz z ładunkiem i tak, jak poprzednio, przedzierać się przez lasy dziewicze, wśród nieustannie nużących i trwozących utarczek z człowiekiem pierwotnym. Zadziwia tu nie odwaga już i poświęcenie Stanleya dla idei, która go popychała naprzód, ale energia i ta siła wyższości jego ducha, przez którą przywiązał do swego przedsięwzięcia tę garść ludzi czarnych, dokonywających prac Herkulesowych, głównie przez posłuszeństwo jego woli i uznawanie, można powiedzieć intuistyczne, jego nad nimi wyższości i pobudek jakiegoś celu, który był wart ich gorącego znoju i pracy, straszającej wyobraźni.

Ścisnięcie brzegów przez skaliste ich wysoki, skaliste wyspy nadbrzeżne, tworzy katarakty, ponieważ o mile w górę ponad niemi Kongo ma tysiąc dwieście metrów szerokości, a następnie ścięśnienie to każe mu płynąć kanałem ledwo czterdzieści stóp szerokim, rozdziałając go zarazem tak, że jego główne ramie boczne ma blisko pięćset metrów szerokości. Przecież w miarę, jak się ścięśnia, bieg jego staje się szybszym i przez kilkaset metrów długości wody jego leczą z szybkością sprawiającą zawrót głowy temu, kto by w nie patrzył i spadają nagle z wysokości dziewięciu stóp w głąb, gdzie fale gotujące się, kipiące pianą, tworzą bałwany ciemno-brunatne, sześć stóp wysokie, które buchają w górę i pchają się jeden na drugiego z nieopisaną furją. Przy ostatnim *Stanley Fall* Kongo, jak się wyraża Stanley, nie ciska się już tu, ale miota z lewej strony strumieniem szerokim na pięćdziesiąt, z prawej na pięćset metrów wody szalejącej, ryczącej i razem liczyć trzeba około dwóch mil takiego biegu rzeki: katarakt, wirów, które młynkując tworzą góry wody, a z obu stron tego chaosu wód, jakoby pierwotnego, nie ukonstytuowanego jeszcze świata, ludożercy, którzy czatują na zuchwałego żeglarza, ośmielającego się wdnieść w to państwo okropności natury.

Stanley i jego towarzysze żyli wśród tej grozy trzy tygodnie: od 6 do 28 Stycznia, a gdy na-

koniec przeżyto ostatni spadek, żeglowano tak forsownie, jakgdyby to była ucieczka przed jakąś pogonią. Uciekano też rzeczywiście przed hukiem i rykiem wody, która przez tyle dni i nocy ogłuszała ich do oszłomienia, do niezdolności zebrań myśli. Od tego miejsca rzeka zwraca w zachodnio - północnym kierunku i płynie między wzgórzami lub lasami, wciąż nieprzepuszczającymi dziennego światła i które są też pogrążone w wiekiutym mroku wieczornym, a Kongo staje teraz wspaniale piękną, majestatycznie spokojną rzeką. Wody jej niesły podróżnych łagodnie, dając odpoczynek siłom ciała i ducha, który zdawał się odradzać w każdym do nowego życia. Oddychano pełną piersią, lecz było to uspokojenie zawodne, bo choć natura przestała być tu wroga, czarny stron tych człowiek widzi w każdym przybyszu łup, dany mu tak do zdobycia, jak dzikie zwierzęta lasów, na które poluje i baczność na krajowców nie mogła być zwolnioną. Od 23 Listopada do 29 Stycznia stoczono już ośmdziesiąt walk, to broniąc się ich pigorom, zastępującym drogę na rzecę i niedozwalającym dalszej żeglugi, to w razie, gdy nie chciano im sprzedawać żywności i trzeba ją było zdobywać sobie przez napad na wieś niegościnną, do czego głód zmuszał. Karawana zdobyła wśród tych walk przykrych sześćdziesiąt pięć ogromnych puklerzy drewnych, kształtu podwoi, a które okazały się wielkiej użyteczności, bo gdy rozpoczęła się walka na wodzie, kobiety, a nawet dzieci starsze, przysiadając na ziemi, trzymały je przed wojownikami, strzelającymi do napastników. Czterdzieści trzy karabinów posiadanych mogło zdziałać więcej zpoza tej ściany, niż sto pięćdziesiąt bez zasłony.

Podobnie i wiosłarze, zasłonięci od strzał, rzuconych z wybrzeża lub pigorów, byli niemal zupełnie bezpieczni, ale zmęczono się już tym stanem nieustającej czynności i potrzeby broniącej się ciągłego. Stanley dodaje, że mieszało się tu jeszcze uczucie inne, jakoby gniewnego rozdrażnienia przeciw niegościnnosci tych krain, którym nie niesiono nic złego. Człowiek był srogim, jak zwierzę, a lasy wśród których żył nie przedstawiały możliwości spokojnej uchrony i nie dawały środków wyżywienia się spokojnego. Stanley myślał, czyby nie było lepiej podróżować głównie nocą, czy przecież mógł odgadnąć, czy rzeka nie przedstawi im nagle przepaści niespodziewanych, a nie było można zwrócić się tu do żadnej istoty ludzkiej po informację potrzebne. Każdy spotykany człowiek był jak zwierzę drapieżnym i miotał się dziko na obcego, choć wśród tej krainy nie otwartej jeszcze dla podróżników więc i łowców ludzi nie było to działaniem instynktu zachowawczego, tylko srogością dzikości pierwotnej.

W warunkach tak trudnych i przykrych dostano się do miejsca, gdzie Kongo przyjmuje wody wielkiego swego dopływu od strony północnej: rzeki Aruhumi, której ujście było tu szerokiemi na trzy kilometry. Stanley zapragnął zwiedzić jej brzegi, ale zaledwie w kilka łodzi wpłynął na jej wody, ujrzał przed sobą nieprzyjaciela, groźniejszego, lecz zarazem więcej zajmującego, niż wszelki spotykany dotąd krajowiec. Łodzi było mnóstwo wielkie, a rozmiary ich tak ogromne, jakich Stanley nie widział jeszcze u murzynów.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Między uczestnikami Wystawy Paryżkiej katalog urzędowy podaje z Królestwa tylko dwie wystawczyń. Hr. Potocka Marya z Wysokiego Litewskiego wystawia 20 gatunków zboża; p. Marya Dulembianka obraz: „Sieroty.“ Na kongres kobiecy, mający się odbyć w Paryżu w czasie trwania wystawy, przysłano do naszego miasta

kilka zaproszeń właścicielkom magazynów strojów i jednej szkole pracy kobiecej, pomijając zupełnie sferę działań naukowych, literackich i artystycznych.

— Na wystawę naszą pracy kobiecej napływają licznie deklaracje, zwłaszcza z działu malowania na porcelanie, haftów, bielizny i krawieczyzny, ale brakuje ich zupełnie z zakresu pedagogiki, snycerstwa, litografii i innych gałęzi pracy, jak gospodarstwo domowe, domowy przemysł. Piśma donoszą, że sztuka stosowana do przemysłu w sprzętach domowych będzie mieć liczne przedstawicielki, przecież owiele ważniejszą rzeczą byłoby wystąpienie kobiety gospodyni, kobiety matki i nauczycielki, dalej pisarki kształcącej ten wiek młody, z którego ma się tworzyć zstępne pokolenie nasze. *Tydzień* donosi, że z Piotrkowa wystąpić mają licznie uczennice bezpłatnej szkoły koronek, robót drutowych i szmuklerskich, szycia białego, oraz uczennice ochrony zostającej pod kierunkiem zacnej p. Krz. i uczennice zakładu rektorskiego pani F.

— Felczarki, chcące otrzymać pozwolenie praktykowania, powinny posiadać, obok kwitu z opłaty odbytego egzaminu w Warszawskiej Szkole Felczerskiej: 1) Świadcstwo z ukończonej szkoły czteroklassowej; 2) Świadcstwo rocznej praktyki w Szpitalu; 3) Świadcstwo dobrych obyczajów; 4) Metrykę urodzenia. Prośba o przyjęcie do egzaminów powinna być opatrzona marką stemplową w cenie 80 kop.; egzamin składać można od d. 27 Kwietnia do 27 Września we wspomnianej wyżej szkole. Zawód felczerek mógłby opłacać się dobrze we wsiach kościelnych, mógłby zwłaszcza łączyć się z zajęciem ochraniarki i razem przedstawiałoby to, obok przyzwoitego utrzymania, pracę wysoce użyteczną. Decentralizacja pracy kobiecej, która w Warszawie okazuje przepelnienie, gdy na wsi dają się czuć wielkie jej braki—byłaby dobrodziejstwem dla pracującej.

— Szkoła koronek w Wilnie, prowadzona przez p. Stanisławę Wikszemską, córkę lekarza tamtejszego, rozwija się bardzo pomyślnie. P. Wikszemska uczyła się sztuki swego w Zakopanem i we Włoszech, a poświęciła tej nauce lat kilka. Szkołę urządziła od razu bardzo starannie i umiejętnie, wezwawszy sobie do pomocy dwie nauczycielki: z Zakopanego i z Wiednia; rezultaty są tak pomyślne, że p. Wikszemska zamierza otworzyć szkołę drugą, bo dotychczasowy odbyty na wyroby szkoły pozwala wróżyć tu powodzenie. Zapewnia je wytworność wyrobu, jego rodzaj i ten wyższy styl szkoły włoskiej i zakopańskiej, który p. Wikszemska przyswoiła sobie i przekazuje uczennicom, podnosząc tym sposobem koronki szkoły swojej nad konkurencją z wyrobami mniej estetycznego smaku, mniej szlachetnych gatunków.

Na przeszłorocznej wystawie rolniczo-przemysłowej w Wilnie, wyroby szkoły zostały nagrodzone medalem srebrnym z powodu, że dla działu tego nie było medalu złotego. Szkoła dzieli się na pięć oddziałów: koronek czeskich, to jest: klockowych i gipiury, weneckich, dalmackich, genueńskich i francuzkich lecz warunkiem koniecznym jest, aby każda z uczennic umiała najpierw robić koronki czeskie. Nauka jest bardzo taną, zwłaszcza dla uczennic pojętnych, bo płacą cenę 10 kop. za godzinę nauki, przyczem uczennica nie jest narażoną na żadne inne wydatki, które z konieczności czynią naukę drogą i ztąd już mniej przystępną dla niezamożnej, zwłaszcza, że w szkole p. Wikszemskiej uczą się przeważnie dziewczęta ubogie.

— W pierwszej połowie Kwietnia odsłonięto we Lwowie, w kościele dominikańskim pomnik przedwcześnie zmarłej poetki: Maryi Bartosówny, której krótkiego życia smutne dzieje znane są czytelnikom.

— Właścicielka klucza Bolszczowo w Galicyi, p. Krzeczunowiczowa, zwana w swojej okolicy opiekunką włościom, obdarowała wieś: Bolszczowo Słobótka, Hanowiec, Herburtów, Skomorochy, Bolszow i Popławnik fundacją wiekiutą zapisanych na rzecz tychże włości 20.000 zł. r. Procent od tego kapitału ma być rozdawany co pół roku kalekom, chorym, sierotom, ubogim wdowom, pęgorzelcom, wyrobnikom spracowanym. Fundatorka, a po jej zgonie najstarszy członek jej rodziny,

kierować będzie rozdawnictwem tych dobroczynnych zapomóg.

— W zeszłym miesiącu zmarła w Krakowie Teresa z książąt Sulkowskich hr. Henrykowa Wodzicka—matrona poważna, pełna cnót obywatelskich, której działalność w zakresie czysto niewieściego powołania, zjednała jej szacunek ludzki i otoczyła jej osobę tem uznaniem na które zasługiwała, jako rodzimy typ szlachetnej niewiasty naszej. Położenie towarzyskie zapewniało jej wpływ, który umiała zdobyć sobie w stopniu wyższym i uczynić go społecznie pożytecznym w kierunku tych przymiotów, które tradycyjnie są przyznawane kobiecie naszej.

Zmarła była córka księcia Antoniego Sulkowskiego, generała i adiutanta Napoleona I, człowieka cnót bohaterskich.

— Druga część *Dewajtisa* została napisaną—przecież nie przez utalentowaną autorkę części pierwszej, ale w Jassach przez młodą rumunkę: Plataniś, która mając nauczycielkę Warszawiankę, nauczyła się naszego języka, i czytając w nim wiele, poznała sympatyczny utwór p. Rodziewiczówny. Ze musiał ją przejąć żywo—że musiał jej ukazać takie ideały dobra i piękna, jakie ukochała jej dusza młoda, dosnuła z fantazyi własnej dalsze dzieje ludzi przedstawionych w okolicy starego dębu Żmudzkiego—napisała tom drugi i epilog. Rzecz ciekawą do poznania.

— Papież obdarował arcyksiężnę Stefanię, wdowę po Rudolfe Złotą różą, czyli różą cnoty. Boleść, jeżeli umie być szlachetną: jeżeli nie przynięta, nie łamie, ale uczy z nad toni losu wysoko poglądać na życie, staje się wielką chrześcijańską cnotą. Już stoicy uznawali cierpienie za taką dźwignią dla ducha, jeżeli nie jest on pospolitym i samolubnym. Leon XIII chciał snadź przez ten swój dar wskazać taki kierunek życia tej ciężko przez los doświadczonej pani.

Wyprawa księżniczki Zofii Pruskiej, przyszłej królowej greckiej, przygotowuje się całkowicie w Berlinie i choć to jest strona świata mało dla nas sympatyczna, niemniej godzi się oddać każdej cnotie to, co się cnotie należy—hold uznania. A tu jest szlachetna duma narodowa w pominięciu obcego tonu—obcego szyku: jest troskliwość uczciwa nie wydania po za kraj grosza, z kraju pobieranego i należy to uszanować jako cnotę, w miłości kraju swego zawarta i po nad próżność większej, mniejszej elegancji podniesiona.

— W Kopenhadze zebrało się licznie zgromadzenie kobiet dla narady nad szkołą sług, która się ma tam otworzyć. Nauczycielka szkół rządowych: fra Berg Nielson, odczytała zebrany plan nauki, której pragnęła by dla szkoły, kładąc na to nacisk, że rozświecenie umysłu nie tylko wspiera wszelką pracę zawodową przez ogólne podniesienie poziomu inteligencji, ale umoralnia każdą istotę ludzką.

— Zmarła w Wenecyi hr. Elżbieta Giustiniani zapisała miastu starożytny i wspaniały swój pałac z zastrzeżeniem, aby obrócono go na szkołę dziecięczą, w której by historia Włoch była jednym z przodujących i koniecznych obowiązujących przedmiotów, a to z powodu, że trzeba znać przeszłość, aby szanować ją i kochać. Testatorka, która pisała testament swój własnoręcznie, dodała, że nauka historii, budząca w sercach ludzkich miłość ziemi rodzinnej i wytwarzająca węzeł między pokoleniami, stanowi najwyższą i może jedynie skuteczną tarczę przeciw ideom przewrotu: socjalizmowi, który jest negacją uczuć patryotycznych. Hr. Giustiniani była wielce kochana i czczona przez współziomków swoich, bo w czasach ciężkich dla Włoch, przebywała obok męża na wygnaniu i wspólnie z nim przeszła przez wiele prób trudnych do zniesienia dla kobiety, nawykłej do dobrobytu, pracując na chleb. Po upadku panowania Austrii we Włoszech, wróciła do rodzinnej swej Wenecyi, a dom jej i reka była zawsze otwarte dla ludzi ubogich, a dobrze zasłużonych krajowi. Obok tego zajmowała się bardzo wychowaniem i nauką dziewcząt włoskich, założyła żłobek i ochronę ze względem pierwszeństwa na dzieci rodzin dobrze zasłużonych Włochom. Dobra ziemskie, wartujące przeszło milion lirów, zapisała miastu Wenecyi na wzniesienie domu weteranów i inwalidów, oraz

summę przynoszącą 20,000 lirów procentu, na utrzymanie żłobka jej fundacyi. Umieraa już wdowa.

— W początkach bieżącego roku Ernest Lefèvre wniósł we francuzkiej izbie deputowanych wnioski, aby kobiety handlujące miały prawo głosowania przy wyborach członków trybunału handlowego. Wniosek ten przeszedł w izbie deputowanych jeszcze w 1855 r.; ale odrzucono go w senacie. Obecnie wybrano dla wskrzeszonego wniosku komisją, w której dziewięciu głosami przeciw dwóm został przyjęty. Jeden z członków komisji Lefèvre, wykazał na wstępie, że jeżeli kobieta jako handlująca, ulega tym samem, co mężczyzna prawom, płaci przytem rządowi, jako taka, te same podatki, powinna używać i tych samych przywilejów, a między innymi wyboru urzędników, którzy jako członkowie Trybunału handlowego, mają rozstrzygać sprawy, w których jest interessowana.

— W Hollandyi wydanem zostało prawo ograniczające dzienną pracę kobiet w fabrykach do godzin jedynastu, a zakazujące całonocnej i niedzielnej pracy kobiet.

— Cesarz austriacki ozdobił wysokim orderem złotego krzyża i korony Maryą Parish, wdowę, za miłosierdzie, świadczone ubogiej ludności a zwłaszcza kobietom w Senftenbergu w pobliżu Wiednia.

Wycieczka w krainę młodości

przez

ŚWIĘTOPOLKA CZECHA.

Przełożył z czeskiego Z. P.

— Tatumiu!

Głos ten powstrzymał jego kroki. Był to piękny, świeży głos altowy, jaki zabrzmieć może tylko z delikatnego gardła dziewczęcego. Ale nie tylko czar harmonijnej jego dźwięczności przykuł naraz do ziemi nogi poważnego wędrowca, okrążającego właśnie narożny szczyt szkoły wiejskiej. Głos ten wydał mu się jakoś znajomym. Przypominał sobie, dłuhał końcem parasola w kolei drodzej, lśniącej jeszcze kroplami niedawnego deszczu wiosennego—eh, co tam... nie przypomni sobie.

Inna rzecz zwróciła jego uwagę. Wstępując przedtem na szczyt wyniosłości przez młody lasik brzoźowy, widział przed sobą tylko czerwoną wieżyczkę kościółka i gontowy dach szkoły, stojącej na początku wsi. Teraz, gdy wyszedł za róg tego budynku, rozwinął się przed nim naraz szeroki krajobraz z błękitnym gór łańcuchem daleko w głębi: Rzyp, Radobył, Hanzburg, Ostry, Milešzówka—tłumy innych—wszyscy ci starzy, dobrzy znajomi, stoją tam we wspaniałym orszaku i witają go poważnie po długim niewidzeniu. Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia—tak, okrągłe dwadzieścia lat temu poraz ostatni zatapiał z tęsknotą młodzieńcze oko w modrawych ich cieniach. Jak czas szybko ulata! Ktoby powiedział, że już dwadzieścia lat minęło, odkad raz ostatni zebrał swą wioskę rodzinną—oto tam z doliny wita go jej wieżyczka kościelna, i raz ostatni koło tej szkoły na ukochane obejrzał się góry.

Po dwudziestu latach dopiero zdjęło go pragnienie, aby raz jeszcze spojrzeć na krainę rodzinną. W rozsądnym, trzeźwym człowieku, zgarbionym nad aktami w dusznej kancelaryi miejskiej, zbudziła się nagle szalona, nieprzemyślanej mocy tęsknota za przeszłością, za wiosną i młodością. Było to podobne do paroxyzmu jakiejś choroby. Odrzucił na bok akta, strząsnął z siebie pył kancelaryjny, pozostawił mieszkanie swe ze wszystkimi gratami na opiece starej gospodyni i poszedł na wędrowkę piechotą, z lekkim tylko woreczkiem podróżnym u boku i mocnym parasolem w ręku. Chciał wrócić w strony rodzinne tak, jak je kiedyś opuścił. A gdy daleko za miastem, krocząc ścieżką obok gościńca, znalazł się wśród zielonej, kwitnącej wiosną okolicy, zdało mu się nagle, że

wróciła mu młodość miniona, że stał się znowu wesołym, lekkomyślnym studentem, który ongi tak często tędy z piosnecką na ustach do domu ojcowskiego wędrował. Teraz tam w tej wiosce nie ma już ze swoich nikogo, przychodzi obcy między obcych—tylko kraina uśmiechem go wita na znanem obliczu i szepta mu o czasach minionych.

Zdjął kapelusz słomiany o szerokich skrzydłach i otarł chustką rześiste krople potu na mocno wypukłym, kilkoma głębokimi zmarszczkami, poornem czole, którego pierwotne granice drapieżny czas posunął wysoko w obręb zrzedłych, tu i owdzie lekko już nawet usniezionych włosów. Potem powiał rozpuszczoną chustką, jakby na powitanie, w kierunku gór błękitniejących.

— Zachodni mamy, zachodni—przemówił za nim ktoś.

Obejrzał się. Z ogródka przed szkołą, wsparłszy się łokciem: o zielono pomalowane sztachetki, spoglądał nań z życzliwym uśmiechem podstarzały człowiek w długiej siwej kapocie, białej kamizeli w kwiatki i czarnej domowej czapeczce na siwiejących kędziarach. Szczupła, gładko ogolona twarz jego fałdowała się w te surowe, powagi pełne zagięcia, jakimi często pyszną się oblicza pedagogów wiejskich.

— Tak, wiatr zachodni—przyświadczył nasz wędrownik, widocznie zadowolony, że sobie nauczyciel poetyczne poruszenie jego chustki w tak trzeźwo-praktyczny sposób wytłomaczył.

— Pan zdaleka?

— Z Pragi.

— Aż z Pragi! I może piechotą?

— Piechotą. Ale już drugi dzień jestem w drodze. Idę noga za nogą.

— Pan zapewne malarz?

— O, bynajmniej.

— Sądziłem tak, ponieważ przed chwilą z niezwykłą uwagą przyglądał się pan kamiennemu żaczkowi, którym perukarski brak smaku jakiegoś architekta wiejskiego ozdobił fronton naszej szkoły. Bóg wie, jak długo on już tam straszędy obejmował posadę, chylił się już ku upadkowi. Chciałem go usunąć i postawić w jego miejsce popiersie Kommeniusza, albo inną jaką odpowiednią ozdobę; ale nie, nie dano mi ani włoska tknąć na głowie potworka. Dach zostawiono mi dziurawy, ale żaczka wyelegantowano, nanowo pomalowawszy go różnymi farbami: kapelusz—czarna, kamizelkę—zieloną, a torbę do książek na żółto—czyż to nie śmiech bierze? Ale cóż człowiek ma robić?—Wiejskie stosunki.—A więc pan... profesor?

— Dobrze, będę professorem, ciekawy Kommeniuszu!—pomyślał sobie nasz wędrowiec i przyświadczył obojętnym skinieniem głowy.

— Na ekursyi botanicznej?... zoologicznej?... geologicznej?

— Oho, w tę pułapkę nie wlaź!—powiedział sobie w duchu podróżny.—Jeszcze cię weźmie na porządny examin, a na tym chyba-byś z honorem nie wyszedł.

— Hm, filolog.—rzekł głośno.

— Filolog. Ach, to bardzo pięknie! Ale może by pan profesor był laskaw odpocząć trochę w mym skromnym ogródeczku? Przyjemnie tu dość. Wszystko właśnie rozkwitło.

Wędrowiec nie mógł się oprzeć temu zaproszeniu. Ogródek uśmiechał się i wabił całą kwiatów powodzią. Powoje z różnobarwnymi dzwonekami, w których po większej części błyskała rosa z niedawnego deszczu, jakby napój przejrzysty w barwistych puharkach, rozpinały nad ławeczką nauczyciela najpiękniejszy, jak tylko można sobie wyobrazić, baldachim, przewijały się bujnie po całym ogródku, a jeden z nich wypełznął nawet przez otwór w sztachetach i podchlebco tulił się do nóg podróżnego, i spoglądał nań prosiącym modrym kwiatkiem, jakby czarującym okiem niewinnej dziewczeczki. Było to wezwanie przeszłości. Szkoła ta była mu dobrze znana. Nie siadywał wprawdzie zamłodu na jej ławkach, ale za zdrowości jej zawsze chłopcom z tej wsi sąsiedniej, z powodu tego właśnie pstrego, kamiennego żaczka na jej frontonie. Podobał mu się on niesłychanie. A za lat młodzieńczych bywał tu częstym gościem. W każde święta schodziło się gronko młodych ludzi pod gościnnym dachem gontowym na

lekcje tańca i inne niewinne zabawy, które urządził ówczesny pomocnik nauczyciela. A sam wesoły stary nauczyciel życzliwie patrzył na te zabawy i nieraz sam na fortepianie do tańca przystępował. O, chwile boskiego wesela! Pierwsze drgnienie miłosne uczuło tu w młodej swej piersi, a tklnięw Afrodyta tego morza marzeń i uczuła była piękna córka nauczyciela, modrooka Juleczka.

O, teraz poznał słodki głos, który powstrzymał jego kroki. Jak zapomniany srebrny dzwonek rozbrzmiał mu on naraz z toni przeszłości i dawny czar tajemniczy na serce mu rzucił. Ten głos był właśnie pierwszym przedmiotem młodzieńczych jego uniesień. Przyjął obowiązek suflera na studentkim koncercie amatorskim w swych stronach rodzinnych. Prolog miała wypowiedzieć panna jakaś, wówczas jeszcze mu nieznaną.

Siedział za zasłoną z książką w ręku. Przed nim zaszeleściła suknia kobieca—nie widział deklamatorki—usłyszał tylko jej miły srebrzysty alt, który czarownicą słodko-brzmiącą strugał w nim mu w serce i naraz upoił duszę młodzieńczą. W głosie tym się zakochał, zanim ujrzał twarz czarodziejki; głos ten został nazawsze główną częścią jej wdzięku, jako precudna gęźba, towarzysząca zjawianiu się dobrych wieszczek. Dziwił się teraz, że natychmiast nie poznał tego głosu. Zresztą, miłość jego ku Juleczce nie wyszła prawie ze sfery mglistego falowania uczuć młodzieńczych; nastąpiły po niej uczucia prawdziwsze, głębsze, namiętniejsze—i zasłoniły mu jej obraz, jakby sen dawny, nawpół zapomniany. Teraz powstaje on znowu widomie przed oczyma duszy jego; ale zkąd tutaj ten głos, głos Juleczki? Przecież ojciec jej dawno umarł, a córka mieszka. Bóg wie gdzie—może nawet poszła już za ojcem...

Myśli te przebiegały głowę wędrowca, gdy zwolna wchodził do gródka. Usiadł obok nauczyciela na ławeczce kamiennej pod znanym mu dobrze kompasem, niezgrabnie namalowanym na ścianie budynku szkolnego. Wilgotne dzwonki zielonego baldachimu orzeźwiająco muskały mu odkrytą głowę. Dokoła wszystko tchnęło wiosną.

— Więc pan... filolog—począł nauczyciel.—Piękne powołanie. Ale powinniście się trochę miarkować w swej gorliwości, panowie. Inaczej nie będziemy w stanie zmieniać ciągle swojej czeszczyny według ostatniej waszej mody. Mam, na przykład, utrapienie z pomocnikiem moim, młodszym nauczycielem tej szkoły. Pochłania każdą gramatykę, jaka tylko wpadnie mu w ręce, i umie wyszukiwać najskrytsze germanizmy, jak pies wyćwiczony—trufle. Pisałem dawniej *boski* przez *s*; zaczął mi dowodzić, że trzeba pisać przez *z*. Dobrze, pomyślałem sobie, będę pisał przez *z*. Ale niezdługo sycy znowu *sss*—przez *s* trzeba pisać. Pokręciłem głową i pisałem przez *s*. Ledwie wszakże napisałem *s* może raz dziesiąty, już zakomunikował mi znowu zwycięzką wiadomość, że podług najnowszej metody trzeba pisać *z*—czy to nie straszne, na koniec? Upewniam pana, że teraz wszystko mi się pomieszało i przy każdej literce badam teraz z niepokojem sumienie. — Czyś pan żonaty, panie profesorze?

— Nie, panie.

— Lepszą pan część obrałeś. Człowiek jest zawsze niewolnikiem. Patrz pan na mnie! Miałem żonę najlepszą na świecie, a jednak siedziałem trochę pod pantoflem, a teraz, gdy mi umarła, mustruje mnie córka. Patrz pan, oto oczywisty dowód mojej niewoli! Wołała mnie przez okno, a że ojciec zaraz nie posłuchał, przychodzi sama po niego. Przyjrzyj się pan, jaka zadąsała!

Samozwanych profesor spojrział w kierunku, wskazywanym mu przez nauczyciela. Od domu nadchodziło dziewczę i stanęło teraz, zmieszane widkiem obcego. Ten zadrżał i utkwiał w przesłizanej postaci szeroko otwarte, radosnego zdumienia pełne oczy. To ona! To Juleczka w swojej własnej osobie! To jej postawa, kędziory, oczy, twarz—nie brak nawet tych milutkich dołeczków na milutko zarumienionych policzkach i powabnie zaokrąglonej brodzie. Zdało mu się, że stało lat, które przeleciały nad jego głową, było tylko snem ciężkim, który ujął w swe objęcia na chwilę młodzieńca, spoczywającego na znanej ławce kamiennej w ogródku przy szkole, i że teraz przebudza się z niego na szelest kroków swo-

jej ukochanej. Mimowolnie podniósł rękę ku głowie—ale, ach! dłoń napotkała tam gładki ślad wydeptany stopami czasu! Nie—zapomni, że się zestarzał—odda się na chwilę słodkiej wierze, że zbudził się wśród kwiatów młodości i miłości!

Dziewczę pozdrowiło nieznanego pełnym wdzięku skinieniem głowy i chciało wrócić do domu. Ale nauczyciel przywołał ją do ogródka.

— Pójdź-no, pójdź tutaj! Nie wypada, byś uciekała od gościa, jak dziecko trwożliwe. Przedstawię cię panu.

Z ognistym rumieńcem na twarzy i niepewnym uśmiechem na ustach stała przed nieznanym, który powstał i wlepił w nią oczy pełne podziwu.

— Pan professor...

— Stary.

— Pan professor Stary z Pragi; moja córka Julcia. Tak! A teraz powiedz panu profesorowi: dlaczego szłaś po mnie?

Dziewczę milczało pomieszane.

Boże, nawet imię to samo! — myślał tymczasem Stary—Co za podobieństwo niezwykle! Śnię—czy też jakiś czar zawiódł mnie istotnie z powrotem do utraconego raju młodości?

— No, więc powiem to sam, abys pan mógł poznać, w jakiej jestem niewoli — daś się żartobliwie nauczyciel — Wiedz pan, że własna córka, zrobiła ze mnie na stare lata rzepołę, który musi przygrywać, i to bezpłatnie, do nierozumnych skoków kilkorgu młodych osóbek, schodzących na tę szkaradną zabawę pod moim własnym dachem. Nazywa się to lekcyą tańca. Tancznicy już się zapewne zebrawi; w programie jest, jak mi się zdaje, kadryl: więc śpiesz się, rzepoło, i graj, póki ci ręk starczy!

— Nie, nie, nie potrzeba — mówiło dziewczę urywanym głosem — i tak nie przyszedł pan Brożek—więc brak nam jednego tancerza.

— O, tak mi się nie wykręcisz! Po coś więc przyszłaś?

— Po co? Chciałam... Nie wiedzieliśmy, że tu siedzisz z tym panem.

„Ten pan” pochylił głowę, w której wirowały roje myśli. Mając oczy spuszczone i słysząc tylko ten srebrzysty, słodki głos, tem głębiej tonął w złotem złudzeniu, że stoi przed nim istotnie Julia jego lat młodych i że z nią razem wróciła naraz cała piękna przeszłość. Wszystko utwierdzało go w tem złudzeniu. I ta lekcyą tańca — wszystko taksamo, jak przed laty. I jednego tancerza brak—to zapewne jego właśnie, jego, który zasnął tu na dworze i któremu się zdało, że opuścił na zawsze swe strony rodzinne, że pomarł jego ukochani, że zagasły jego ideały, że włócił się ciężko wśród trosk życiowych, z trudem zdobywając kęs chleba powszedniego, że postarzał się o lat dwadzieścia. Teraz jest znowu młodym. Wszystko, wszystko o tem świadczy. Czyżby stał się cud?

— No, przyznaj się, przyznaj — mówił nauczyciel do dziewczęcia — że cię trochę opętał dyabełek tańca. Zupełnie, jak twoją nieboszczkę matkę. We wszystkim do niej jesteś podobna, i w tem także. Za jej lat młodych również skakało tu nieraz w szkole gronko młodych ludzi. Kiedym się zaczął o nią starać, ustały, zresztą, te zabawy—byłem strasznie zazdrosny, a jej także odechciało się towarzystwa innych ludzi.

Tu przerwał i po namyśle zwrócił się znowu do gościa: — Pojąłem za żonę córkę dawniejszego nauczyciela tutejszego, swego poprzednika. Nazywała się także Julia. Było to małżeństwo czyste z miłości. Szkoda tylko, że tak wcześnie... Zamilkł.

Cud się wyjaśnił. Jej córka!

— Ale dajmy temu pokój — ciągnął dalej nauczyciel po chwili. — Cóż pomogą narzekania? Dajmy temu pokój. Jestem nieprzyjacielem sentymentalizmu, tak, jak i pan zapewne. Mówmy o rzeczach weselszych!

Tak, precz z sentymentalizmem! — myślał stary.—Po cóż mam smutnie marzyć o tem, co pierzchno bezpowrotnie. Chwyć wesoło w objęcia wdziałło młodości, która tak cudownie przedemną się zjawiało, uścisknę je mocno, gorąco, choćby na chwilę. Będę znowu godzinę wesół, młody, szczęśliwy! Czuję, doprawdy, że brzemień lat z ramion

mi spada, a krew wzburzona wre w żyłach, jak wino ogniste.

— Jeśli pani, panno Julio, wraz z resztą towarzystwa nie będziesz miała nic przeciwko temu—rzekł dwornie — zapełnię chętnie swoją osobą lukę w kadrylu; jestem amatorem tańca.

— Oh, pan-by chciał — szepnęło dziewczę.

— Przecież nie zechcesz pan fatygować się dla dogodzenia tej nierozumnej młodzieży?—zawołał nauczyciel.—Po takiej drodze, zmęczony...

— Nie jestem wcale zmęczony, a do celu dziejszej mej drogi nie jest już tak daleko. Tańczyłbym, choć do rana.

— Ale, ale, panie profesorze! Robię wymówki tej oto córce za jej niepojętą pragnienia tańca, a tu taki poważny pan psuje całe wrażenie mego kazania złym swoim przykładem. No, ale jeśli chcecie państwo koniecznie—jak widzę, nie wymknę się już dzisiaj swemu losowi. Pójdźmy więc!

— Może pozwoli mi pani być jej tancerzem?—spytał Stary Julii.

— Oh tak, z radością! — odrzekła, nieśmiało przyjmując ofiarowane jej ramię.

Beatrycze prowadziła go do raju młodości.

Weszli do milutkiego pokoju, gdzie trzy młode pary z podziwieniem ujrzały nieznanego rycerza, którego zdobyła sobie opuszczona krasawica. Nauczyciel przedstawił towarzystwu gościa, a jemu nawzajem wiejskie panienki i ich kawalerów: praktykanta gospodarskiego, pomocnika nadleśnego i—oto, oto stoi ten żarliwy stróż czystości języka, ten pogromca straszliwy wszystkich kaziścieli mowy rodzinnej. Naciesz się pan nim!

Malutki pomocnik nauczyciela uklonił się skromnie i z pomieszaniem jał gładzić swe rzadkie, jasne kędziory. Młode towarzystwo zażenował jakoś ten nowoprzybyły, obcy członek. Uroczyście, powściągliwie siedzieli dokoła stołu, przy którym gość musiał zająć honorowe miejsce na staromodnej kanapce.

— Wybacz mi pan, że nie mogę służyć bardziej eleganckim siedzeniem—usprawiedliwiał się nauczyciel—Domek mój urządzone jest z wielką prostotą, ot, tak powiejsku. Większość tych starych mebli odziedziczyłem po swym poprzedniku. Nieboszczka żona nie chciała się rozstać z temi sprzętami, a ja z czasem przywykłem do nich również do tego stopnia, że chyba umrę wśród nich, jeżeli one przed tą chwilą jeszcze w proch i popiół się nie rozsypią. Są, zresztą, bardzo mocne—stara, dobra robota. Kazałem je tylko ponaprawiać i nanowo odpolituować. Ale teraz przymeś, Julciu, przedewszystkiem coś chłodzącego. Pan professor po utrudzającej drodze musi mieć pragnienie, a przed czekającymi go trudami winien pokrzepić się należycie. Nie, nie odmawiaj mi pan! Mam właśnie w domu parę butelek niezłego wina.

(Dokończenie nastąpi).

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Ludność Warszawy**, obliczona w początkach bieżącego roku, wynosiła 246,688 mieszkańców stałych, 202,082 niestałych — razem: 448,770 osób. Z tych 229,537 kobiet, 216,233 mężczyzn. Zatem kobiet więcej jest o 13,304 osób.

— **Długość Wisły**, licząc od źródła, na 25 wiorst odległości za Krakowem, aż do ujścia pod Nieszawą, ma 568 wiorst. Warszawa leży między 381 a 386 wiorstą.

— **Budowa kościoła na Pradze**, rozpoczęła się dnia 2 Maja. Majster murarski, kierujący robotą, Czosnowski, przyrzeka wyprowadzić mury pod dach przed zimą. Przecież mimo wspaniałej ofiary bezimiennnej: 52,000 rs., potrzeba składek nieustaje, ponieważ trafiono na wodę zaskorną, co spowodowało zwiększenie wydatków, a pozostaje jeszcze kosztowne wzniesienie dwóch wież.

— **Nowy kościół** ze składek buduje się we wsi Duniłowice w pow. wileńskim, kosztem ofiarności włościan miejscowych. Są tacy, którzy złożyli po 1000 rs.

— **Katalog wystawców** z Królestwa Polskiego wraz ze szczegółowym planem Wystawy paryskiej, oraz z Przewodnikiem po Paryżu opracowanym starannie przez H. Sabowskiego, wyszedł z druku.

— **Krakowska Akademia Umiejętności** rozpoczęła z bieżącym rokiem bardzo pożyteczne wydawnictwo *buletynów międzynarodowych*, których przeznaczeniem jest obznajmiać uczonych zagranicznych, nie posiadających naszego języka, z czynnościami Akademii. Bardzo cenne rozprawy i publikacje zostawały nieznane, czemu zapobiegnie teraz wychodzące pod redakcją Smolki co miesiąc sprawozdanie w dwóch językach: francuskim i niemieckim: „Buletin International de l'Academie des sciences de Cracovie“ i „Anzeiger der Akademie Wissenschaften in Cracau.“ Oprócz sprawozdań z posiedzeń wydziałowych, buletyny zawierają streszczenie rozpraw i wydawnictw, wyszłych nakładem Akademii. Wydawnictw tych jest już znaczna liczba tomów.

— **Konkurs na premia dla literatów polskich** fundacyi Franciszka Kochmanna, został ponownie rozpisany z terminem d. 31 Marcem 1890 r. Premii jest dwie: jedna w summie 1.000, druga 500 zł. reń., za dwa dzieła w języku polskim, uznane za najlepsze, bez różnicy gdzie i pod jakim rządem zamieszkują ich autorowie, wezwani, aby dzieła na konkurs przeznaczone przesyłali do Lwowa pod adresem Wydziału Krajowego. Do konkursu dopuszczają się dzieła wszelkiej treści, prócz religijnych i teologicznych. Mogą być żywych lub zmarłych pisarzy, przeciw w wypadku ostatnim dopuszczają się do konkursu tylko dzieła na lat trzy przed konkursem drukowane. Dzieła autorów zmarłych, znajdujące się dotąd w rękopiśmie, w razie otrzymania nagrody, zostaną za fundusz nagrodowy wydane. Z prac pisarzy żyjących, tylko dzieła już drukowane mają konkurs dla siebie otwarty, przeciw wydawnictwa czy żywych, czy zmarłych pisarzy, nie mogą przekraczać po za rok 1880.

Własność dzieła nagrodzonego pozostaje przy autorze. Nagrody przyznane zmarłym przypadają jego spadkobiercom; gdyby ich nie było, komisya konkursowa rozporządza funduszem. W myśl aktu fundacyi utworzeniem komisyy zajmuje się wydział Krajowy. Przewodniczącym, który reprezentuje zarazem Wydział Krajowy, jest obecnie Oktawiusz Piotruski, kuratorami są: Dr. Gustaw Roszkowski, prof. Uniw. Lwowskiego i dr. Zygmunt Samolewicz, dyrektor gimnazjum we Lwowie.

— **Towarzystwo Ochrony Tatr**, ukonstytuowało się urzędownie: d. 27 Kwietnia z siedzibą w Krakowie. Dr. Władysław Markiewicz, zającąc posiedzenie oświadczył, że wymagalna liczba 500 udziałów nietylko już zebrana została, lecz pieniądze wpłynęły do kasy *Towarzystwa Wzajemnego Kredytu*; nadto zebrano jeszcze udziałów 20 — razem jest ich 520, przedstawiających 52,000 zł: ren: i fundusz rezerwowi 2,500 zł: ren: Przemawiający przyznał, że zebrana suma nie jest jeszcze dostateczną na kupno dóbr ocenionych na 400,000 zł: ren: ale jest już przeszło 100 udziałów podpisanych, więc przez 8 do 10 miesięcy, to jest do czasu, w którym będzie trzeba złożyć jedną trzecią szacunku dóbr, pieniądze znajdują się już w rękach stowarzyszenia, prócz tego będzie można sprzedać coś lasów, zresztą liczyć można na pomoc z funduszy

krajowych. Niemniej położenie jest bardzo groźne, bo do licytacji wystąpią Golfingerowie, spółka Rettinger, a głównie rząd: Cesarsko-królewski Zarząd Galicyi, pragnący nabyć Zakopane na rzecz funduszu religijnego. — Skarb za wpływem namiestnika wyasygnował już 40,000 zł: ren: na wadyum licytacyjne.

— **Poznańskie Towarzystwo Czytelni Ludowych**, zamieszcza w sprawozdaniu z czynności swoich następujące szczegóły: W r. 1886 Towarzystwo rozesłało między czytelników wiejskich i miasteczkowych 17,000 książek. W r. 1887 w skutek hojnych darów jednorazowych cyfra książek rozesłanych podniosła się do 39,000: w r. 1888, rozesłano 30,737 książek i założono 150 czytelników nowych. W tymże roku ubiegłym miało Towarzystwo dochodu 8,258 marek; wydatek wyniósł 8,046 marek. Członków stałych było 13, zwyczajnych 412.

Malarze i rzeźbiarze szkoły monachijskiej oddzielili się od reszty niemieckich artystów pędzla i dłuta, nie chcących brać udziału w wystawie Paryskiej. Przeszło sto malarzy i rzeźbiarzy wysłało do Paryża dzieła swoje, mimo że rząd odmówił im wszelkiej, zwykłej w takich razach opieki. Koleje państwowe odmówiły im też zwykłych ulg w zniesieniu opłaty. Na zarzut niepatryotyzmu prof. Achenbach odpowiedział, że Francya nie uczyniła Niemcom nic złego, a niewiadomem jest tylko żali Niemcy znajdując się w takim samym do Francyy stosunku?

— **Między Paryżem a Londynem** zaczęto już zakładać telefon podziemny, który będzie i podmorskim.

— **Kongres międzynarodowy katolicki** z celem zniesienia niewolnictwa w Afryce zgromadzi się w Sierpniu w Lucernie.

WYSTAWA PRACY KOBIET

w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa

W WARSZAWIE.

Dział I.

KOMMISSYA ODBIORCZA

Z Komitetu: Hr. Cecylia Plater, hr. Wiktorowa Ronikier.

Z poza Komitetu: Hr. Marya Gustawowa Przędziecka, hr. Rodrygowa Potocka, p. Marcelowa Michałowska.

nadto do KOMMISSYI SĄDZĄCEJ

p. Feliks Bobrowski, p. A. Małkowska, p. S Jeżiorowski, p. Mróz, p. Bułakowski, p. Wilczewski.

Dział II.

KOMMISSYA ODBIORCZA

Z Komitetu: p. Helena Gabriel, hr. Wiktorowa Ronikier.

Z poza Komitetu: panie: z Oskierków Amelia Jeleńska, Lucyanowa Bojasińska, Bernardowa Handtke, Biesiekińska;

nadto do KOMMISSYI SĄDZĄCEJ

panie: Alexandrowa Jałowiecka, Konstantowa Górka, Marya Goldstandowa, Henrykowa Rulikowska, Władysławowa Janasz, Ewa Kossecka, Leonowa Krysińska, Włodzimierzowa Kretkowska; panowie: Stiche, Hoser Piotr (syn).⁵

Dział III.

KOMMISSYA ODBIORCZA

Z Komitetu: hr. Józefowa Krasińska, d-rowsa Wincentowa Szyszło, p. Jadwiga Wernerowa.

Z poza Komitetu: p. Alchimowicz, p. Julian Maszyński, panna Andrzejkiewicz;

nadto do KOMMISSYI SĄDZĄCEJ:

pp. Lucyan Wrotnowski, Cypryan Lachnicki, Józef Ryszkiewicz, Wojciech Gerson, pani Stefanowa Spiessowa, pp. Miller, Brochocki, Ludwik Lilpop.

Dział IV.

KOMMISSYA ODBIORCZA

Z Komitetu: panie: Henrykowa Natanson, Aleksandrowa Zarzycka, Marya Ilnicka.

Z poza Komitetu: panie: Marya Weryho, Urbanowska;

nadto do KOMMISSYI SĄDZĄCEJ

panie: Jadwiga Sikorska, Jadwiga Kuczyńska; panowie: Ślusarski, Kazimierz Król, Dickstein, Wojciech Górski.

Dział V.

KOMMISSYA ODBIORCZA

Z Komitetu: p. z Rotwandów Szebeko, pani Julianowa Fuchs.

Z poza Komitetu: panie: Józefa Szebeko, Helena Werner, pan Zbikowski;

nadto do KOMMISSYI SĄDZĄCEJ

panie: hr. Jadwiga Poletyło, Trzetrzewińska, Chmyzowska, Chruszczyńska; panowie: Skarzyński Stanisław, Hannibal Roztropowicz.

Dział VI.

KOMMISSYA ODBIORCZA

Z Komitetu: panie: Edwardowa Leo, Adolfowa Bauerfeind, Henrykowa Kucharzewska.

Z poza Komitetu: panie: Edwardowa Guttman, Maurycowa Zielińska, Findeisenowa, pan Kazimierz Dobiecki;

nadto do KOMMISSYI SĄDZĄCEJ

panie: Wiktorowa Zaleska, Wiktorowa Kronenbergowa, Karasińska, Aniela Krzywoszewska; panowie: Breza, Andrzej Szczuka, Medard Kossakowski, Konstanty Skarzyński.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 5-ty powieści pod tytułem **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompson.

TREŚĆ: Międzynarodowy kongres Nauczania początkowego na Wystawie Paryskiej, przez M. Ilnicką. — Zwrotki poezye, przez J. K. Ehrenberga. — **Słowa a czyny**, powieść przez Sewera. — Jan Rowland Stanley. — **Kronika działalności kobiecej**. — Świętopełk Czech. Wycieczka w krainę młodości, przełożył z czeskiego Z. O. — **Z bieżącej chwili**. — Wystawa pracy kobiet w Muzeum Pr. i Rol. w Warsz. **Dodatek obejmuje:** Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompson. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycya stołu**.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 25 Апрелья 1889 года.